

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIS W NUMERZE:

Jerzy Bazarewski
Ludwik Berger
Roman Fajans
Oskar Halecki
Victoria Janda
Kazimierz Wierzyński
Jan Wolny
Złote karty piśmiennictwa: Mickiewicz

Vol. 3. Nr. 35 (140) Nowy Jork, 9 września — New York, 21. N. Y., September 9th, 1945. Cena 20 ct.

LATO W POLSCE



GÓRAL NA RYNKU W NOWYM TARGU
Z PRODUKTAMI SWEGO GOSPODARSTWA

JAN WOLNY

N A D O D R A ̄ I N I S S A ̄

II.

Tydzień temu, w pierwszej części krótkiego studium o nowej granicy zachodniej Polski, staraliśmy się dowiedzieć, że ta formalnie jeszcze prowizoryczna granica doszła do skutku z inicjatywy Rosji i pod sowieckim naciskiem, ponieważ odpowiada ważnym rosyjskim interesom państwowym. Polacy, czy to agenci rosyjscy, jak Bierut, czy ugodowcy i realisci jak Mikołajczyk, nie mieli w przebiegu tej sprawy wiele do powiedzenia, a w Poczdamie użyci byli za parawan, usprawiedliwiający i osłaniający akcję rosyjską. Stanowisko Polaków wobec faktu dokonanego omówimy z różnych punktów widzenia w trzecim i ostatnim artykule. Tym razem pragniemy zająć się stosunkiem do problemu nowej granicy anglosasów, którzy też mają i będą mieli coś do powiedzenia na ten temat.

W Teheranie i w Jałcie mocarstwa anglosaskie dla różnych powodów odstąpiły od coraz bardziej niemodnych zasad Karty Atlantyskiej i przechodziły na inicjatywę z Moskwy grunt tak zwanego zdrowego realizmu. W tej kwestii już w Teheranie przyjęto do wiadomości, że Rosja nie odstąpi od linii Curzona, a wzamian za to Polacy dostaną bliżej nieokreśloną kompensatę. W Jałcie, kiedy prestiż rosyjski stał najwyższy, stało się jasne, że to odszkodowanie sięgające bardzo daleko w głąb Niemiec. W Poczdamie Rosja była już w posiadaniu całych wschodnich Niemiec. Nie pytając się partnerów i wyszukując niedomówienia z okresu Jałty, Rosja zdążyła już przekazać stworzonej przez siebie administracji polskiej dobrą połowę terytoriów niemieckich, przeznaczonych na posag dla lubelskich Polaków. Kilka milionów Niemców uciekło w panice przed wojskami sowieckimi na Zachód. Na ich miejsce Moskwa i Warszawa zdążyły już przed Poczdamem przenieść na opuszczone przez nich terytoria paręset tysięcy polskich kolonistów, a pewien procent lokalnej ludności ogłosił się i został uznany za Polaków. Zarazem wojna japońska nie była ukończona, praktyczny rezultat bomby atomowej nie był znany, a wpływowa grupa osób cywilnych i wojskowych w Ameryce z uporem powtarzała, że bez udziału Rosji wojna zaciągnie się na lata i kosztować będzie wiele żywotów amerykańskich.

Gdy w tych to okolicznościach zbrano się w Poczdamie dla rozpatrzenia

wielu spornych i trudnych spraw, i doszło do rozpatrywania problemu okupacji wschodnich Niemiec, strona sowiecka zażądała formalnego ustalenia, że część zajętego przez armię czerwoną terenu legalnie przeszła pod polską administrację. Z wypowiedzeń się uczestników konferencji (mamy na myśli wyłącznie materiał opublikowany i każdemu dostępny) wyraźnie wynika, że gdy doszło do terminu płatności zaciągniętego w Jałcie weksla w polskich sprawach granicznych, i Anglików i Amerykan ogarnęły nadal idące wątpliwości. Sprowadzeni do Poczdamu Bierut i Mikołajczyk potwierdzili wówczas (o ile dobrze rozumiemy, każdy dla innych powodów), że granica na Odrze jest przedmiotem polskich aspiracji. Uruchomiono argument, że na Wschód od Odry niema już prawie Niemców, że jest natomiast dużo Polaków ze wschodniej Polski, Anglosasi, nie mający prawa dostępu do tego terytorium i nie wiedzący, co się tam dzieje, nie mogli tcmu zaprzeczyć. W rezultacie z niechęcią, a zapewne i z przekonaniem, że idą na coś bardzo niebezpiecznego, Anglosasi weksel zapłacili. Odtargowali odeń dwa punkty, w których Rosja nie miała na nich bicia. Oświadczyli, że linja Odry i Nissy jest tylko linją tymczasowej administracji i że konferencja pokojowa będzie musiała się ostatecznie w tej sprawie wypowiedzieć. Jednocześnie zaprzestali przyjmować do swoich zon okupacyjnych dalszych zbiegów i deportantów niemieckich z zony polskiej i z Sudetów.

Po rozjechaniu się konferencji komentarze prasowe niemieckie i polskie na temat nowej linii nie pozostały najmniejszej wątpliwości, że jest ona uważana za ostateczną, i że co najwyżej pozostają do załatwienia jakieś drobne formalności. Prawda, że zgodnie z tekstem rezolucji, Anglicy i Amerykanie uprawnieni są do spodziewania się, iż dojdzie jeszcze do debaty na ten temat na konferencji pokojowej. Ale gdzie pewność, że taka konferencja wogóle się zbierze? A gdy się zbierze, może bardzo późno, to jaka siła potrafi odrobić fakty dokonane? Przecież mocarstwa zachodnie nie zabiorą się siłą do usuwania kolonistów polskich ze Śląska i Pomorza, ani nawet do wypędzania wschodnich Niemców z granic swych zon okupacyjnych. Jedyne, co im pozostaje, to nie uznać nowej granicy polskiej. Ale praktyczne konieczności współżycia międzynarodowego wy-

kluczają możliwość długotrwałego dąsania się na ten temat. To też, zgodnie z rządem warszawskim, nie sądzimy, aby istniała wielka szansa "odrobienia" granicy na Odrze i Nissie.

A jednak, jak to się niedługo okaże, problem ten wcale nie jest prosty. Opinia amerykańska nie jest przekonana, że stało się dobrze, a opinia brytyjska jest przekonana, że stało się niedobrze. W miarę czasu sytuacja w nowej zachodniej Polsce może i zapewne będzie się klarować i stabilizować na miejscu, co jest nietylko pożądane przy każdym systemie politycznym, ale nawet nieuniknione. Ale w miarę tego samego czasu będzie się odbywać kilka innych procesów o odwrotnych skutkach: sztuczne założenie nowego świata i jego wewnętrzne sprzeczności będą wychodzić na wierzch; wolna opinia anglosaska ochłonie z zachwyty dla wielkiego wschodniego alianta i może nawet przejdzie do kontrefensywy politycznej; program poczdamski wobec Niemiec okaże się niewykonalny; wreszcie, gdy odezwą się pierwsze głosy protestujące niemieckie, okaże się, że mają dużo chętnych słuchaczy. Entuzjaści nowej granicy polsko-niemieckiej, a przede wszystkim polscy jej entuzjaści, będą wystawieni na kontratak polityczny i propagandowy, który trudno im będzie odpierać; będą mieli coraz mniej sojuszników. Najpóźniej za dwa lata kontratak ten będzie w pełnym biegu.

Trudno mówić o jednolitości amerykańskiej opinii ogólnej i oficjalnej; per saldo i teoretycznie Amerykanie pragnęliby uniknąć nadmiernych przesunięć granic i transplantacji ludności; praktycznie nie tak wiele ich to obchodzi, choć muszą się do pewnego stopnia liczyć z nastrojami ludności pochodzenia polskiego, niemieckiego etc. i z admiracją nietylko szerokich, co aktywnych kół dla wszelkiej inicjatywy sowieckiej. W obecnym momencie zwolennicy nowej granicy polsko-niemieckiej zapewne dominują w Ameryce nad jej przeciwnikami. Czy tak będzie za parę miesięcy? Niewiadomo. Kadry dla odrobienia decyzji poczdamskich są już gotowe i pierwsze strzały już padły.

Nie potrzeba wiele imaginacji, aby przewidzieć, jakie argumenty będą używane w Ameryce dla podważenia nowej granicy przed zwolaniem konferencji pokojowej. Polacy dostali całe zagłębienie węglowe Śląska — niewiadomo, czy dadzą sobie z niem ra-

dę; dostali dwa nowe wielkie porty— niewiadomo, czy potrafią je obsłużyć; dostali cały bieg Odry — czy aby potrafią zeglugę na niej utrzymać na poziomie, na który podniosła ją dobra gospodarka niemiecka, etc. Taki, i podobny, będzie bieg jednego z głównych argumentów. Drugi już został wysunięty w zapowiedzianej książce b. sekretarza skarbu Morgenthaua oto przyłączenie do Polski wschodnich rolniczych części Niemiec jest w sprzeczności z programem dla Niemiec, jako państwa przedewszystkiem rolniczego. Argument ten jest prawdziwy. Co w nim jest nieprawdziwego, czy raczej nierealnego, to sam program Morgenthaua dla Niemiec, wykonalny tylko o tyle, o ileby pozwolono na emigrację kilkunastu milionów Niemców, których w najlepszych granicach rolnictwo samo nie wyżywi. Dalsze argumenty będą miały charakter humanitarny i będą na wszystkie sposoby odmieniały cierpienia Niemców, którzy uciekli ze wschodu, albo tych, których dopiero trzeba będzie z koreniami wyrwać z ziemi użyźnionej potem ich pradziadów — to samo co my mówimy, i mamy prawo mówić, o Małopolsce Wschodniej i Wileńszczyźnie. Czy żołnierze amerykańscy z zony okupacyjnej nie piszą listów do domów, czy nie mają ludzkich, dożyłych serc?

Będą inne argumenty, bardziej generalne i bardziej dostosowane do mentalności senatorów, którzy kiedyś będą powołani do ratyfikacji traktatów pokojowych. Sumner Welles, który zna się na polityce zagranicznej, ostrożnie ale poważnie zaatakował już samą podstawę konferencji poczdamskiej, jako niezgodną z zasadą "open covenants openly arrived at"; jako przykład zaskoczenia opinii amerykańskiej faktami dokonanymi dwukrotnie cytuje on nową granicę polsko-niemiecką. Taki głos nie mija bez echa. Czy obóz prosowiecki w Ameryce, który z taką radością witał krzywdę Polski na Wschodzie, będzie bronił granicy polskiej na Odrze, bynajmniej nie jest pewne, bo mikrob antypolski, zaszczerpnny temu obozowi przez różnych naszych przeciwników (i ich polskich agentów), działa przeciw każdej Polsce. Ambasador Lublina w Waszyngtonie, jeśli tego nie wie, przekona się o tem wkrótce po objęciu urzędu. A gdyby tak rządy w Polsce miały przesunąć się odrobinę w kierunku rzetelnej demokracji, z punktu mielibyśmy przeciw sobie i amerykańskich komunizantów.

Niesposób w szkicu niniejszym przedstawić, nawet pobieżnie, mate-

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KSIĘŻYC

*Za czem ja krążę?
Za księżycem.
Czem on mnie wabi?
Drohobyczem.*

*Zachodzi chmurą,
Znów się zjawia.
Skąd taka łuna?
Z Borysławia.*

*Którędy nosi
Mnie wieczorem?
Spójrz: ponad Stryjem
I Samborem.*

*Poco ta cała
Wasza zмова,
Co z niej mi przyjdzie?
List ze Lwowa.*

*A ten, co dmie tu
Wiew skrzydlaty?
To młodość, miłość
I Karpaty.*

*Widzę, poznaję
Tamte strony.
Kto mnie tam woła?
Ktoś zgubiony.*

*Poco mnie wzywa
Tak niewczesnie?
Byś wrócił tam, gdzie
Błądzisz we śnie.*

*A poza snem tym
Co się chowa?
Ach, ziemia, ziemia
Księżycowa.*

rjał palny, jaki w odniesieniu do problemu granicy polsko-niemieckiej istnieje potencjalnie w Anglii. Dość powiedzieć, że jest on znacznie silniejszy od amerykańskiego. I dlatego, że Anglja leży w Europie, że znajomość spraw europejskich jest tam wyższa niż w Ameryce, że niezależnie od tego, kto Anglją rządzi, nieufność do polityki sowieckiej i raz, po upadku Niemiec, musi tam rosnąć, i dlatego, że Niemcy odgradzają wyspy brytyjskie od komunizmu. Na pracy dlatego, że istnieją i pozostaną więzy kapitałowe z Niemcami; na lewicy wobec poważnych wpływów niemieckich emigrantów socjal-demokratycznych; w kościele anglikańskim (wobec bliskości protestantów niemieckich); w całym społeczeństwie wobec jego sentymentalnego humanitaryzmu. Wszystkie te wpływy nie grały przeciw wojnie z Hitlerem, ale przetrwały podskórnie w społeczeństwie brytyjskiem. Instynkt polityczny Anglików, wychowany od pokoleń, ostrzega ich, gdzie dzieje się coś sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem. Ameryce nic nie grozi, bo jest daleko, ale Anglicy wiedzą, że są teraz na pierwszej linii "frontu" i że za błędy teraz popełnione będą płacić własną skórą. To też gdy Churchill handlował narodami i granicami ze Stalinem, prasa lewicowa Londynu ostrzegała go przed nieodwracalną lekkomyślnością. Teraz Attlee i Bevin muszą milczeć, a Churchillowi wolno mówić prawdę w oczy i bić na alarm.

Nie, nie będzie łatwe, a nawet nie będzie możliwe przekonać Anglików, że granica na Odrze i Nissie jest słuszna i trwała. Można, jeśli kto lubi, "realistycznie" lekceważyć obecny ciężar polityczny osłabionej, zubożalej, eksperymentującej socjalnie W. Brytanji. Ale uwaga, nie trzeba popadać w przesadę.

Wreszcie jest jeszcze ktoś, kto będzie miał prędzej czy później coś do powiedzenia w sprawie tej granicy. Tym kimś są sami Niemcy. Prawda, że nie będą mieli armji, ani nawet przemysłu wojennego. Ale będą mieli profesorów, publicystów, zaczną jeździć zagranicę, organizować sympatję dla ciężkiego losu ich kraju, używać argumentów, z których część będzie przekonywująca. Słowami, jak mówił Beck, granic się nie zmienia, — ale można je podminować. Czy na jedną chwilę można przypuścić, że komuniści niemieccy, jedni jedyni "zobowiązani" do obrony granicy na Odrze i Nissie, będą bona fide przy niej obstawać?

Czy nowa granica zachodnia jest dobra czy zła z punktu widzenia polskiego, czy między Bugiem a Nissą naród polski może mieć dość chleba i dość miejsca dla przyszłych pokoleń, rozpatrzmy bezstronnie za tydzień. Ale jakakolwiek odpowiedź może być dana na te pytania, jest dość jasne, w świetle międzynarodowego przeglądu, że trwałość nowej granicy nie jest zapewniona.

OSKAR HALECKI

JAK RATOWAĆ UCZONYCH POLSKICH

Mieliśmy prawo spodziewać się, że to bolesne pytanie, tylekroć stawiane podczas sześćdziesięcioletniej wojny, straci swoją aktualność z chwilą klęski Niemców, którzy zniszczenie nauki polskiej postawili sobie jako jeden z celów wojennych. Tymczasem właśnie teraz, gdy ta chwila wreszcie nadeszła, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, jedyna dziś wolna i niezależna placówka naszej nauki, otrzymuje liczniejsze niż kiedykolwiek apele o pomoc od uczonych polskich, rozproszonych po wszystkich częściach świata.

Łatwo to niestety wytłumaczyć. Z jednej strony ci wszyscy pracownicy naukowcy, którzy podczas wojny, po ciężkich nieraz przeżyciach w tragicznym wrześniu 1939 r., pod okupacją niemiecką albo na wygnaniu w Unji Sowieckiej, zdołali się schronić do wolnych i przyjaznych krajów, do niedawna korzystali wszędzie z życzliwej opieki Rządu naszego w Londynie. W miarę swych szczupłych środków starał się on zapewnić im przynajmniej niezbędniejsze warunki bytu, a czasem nawet możliwości pracy w stworzonych do różnie instytucjach naukowo-badawczych lub oświatowych. Obecnie, gdy właśnie w chwili zwycięstwa alian-tów, do którego tyle się przyczynił, rząd ten sam stracił swe podstawy dyplomatyczne i materialne, urwały się niemal z dnia na dzień zasiłki wypłacane przez jego urzędy i likwidują się utrzymywane przez organizacje.

Z drugiej strony, znaczna ilość uczonych polskich, którzy przecierpeli długie lata wojenne w niemieckich obozach jeńców i deportowanych, odzyskała wprawdzie wolność, ale nie chce i nie może, bez narażenia się na nowe niebezpieczeństwa wrócić do kraju okupowanego przez druzgocę z kolei najeżdżącą. Wprost wstrząsające są listy tych, którzy przez te lata niewoli tęsknili za rodzinami i warsztatami pracy, a teraz widzą, że powrót do nich musiałby być okupiony w najlepszym razie, poniżającym kompromisem z polskim sumieniem. Ich bohaterskiej nieraz decyzji pójścia na dalszą tułaczkę nie chcą i nie mogą zrozumieć te sprzymierzone z nami do niedawna kraje, które poświęciły Polskę, jej prawdziwą niepodległość i rząd prawowity, na rzecz ogólnej fikcji, podtrzymywanej za wszelką cenę.

To też zamiast pomocy ze strony czynników obcych, która zresztą i przedtem była na ogół mało wydatna, przedstawiciele nauki polskiej na wygnaniu spotykają się dziś tylko ze zdziwionym pełnym ledwo tajonej pretensji pytaniem, dlaczego nie wracają czempredzej do "wyzwolonej" ojczyzny. Wszak nawet w Wielkiej Brytanji, gdzie liczni stosunkowo polscy pracownicy naukowcy w latach aljansu polsko-brytyjskiego najlepiej się mogli zorganizować, napływają do Nowego Jorku apele, indywidualne i zbiorowe, całkiem podobne do tych, które otrzymujemy gdzieś z Syrii i Palestyny lub Afryki Południowej.

Są to niezawsze prośby o pomoc osobistą w uzyskaniu upragnionej wizy do Ameryki, środków na przyjazd, oraz możliwości pracy na zachodniej półkuli. Z niejednego listu przebija też głęboka troska o taki czy inny instytut naukowy, jego zbiory i publikacje, które ci wygnańcy zdołali stworzyć poprostu z niczego, a teraz chcieliby uratować. W tych krytycznych dopiero chwilach dowiadujemy się ze szczerym podziwem o dorobku naukowym i organizacyjnym, zdobytym w nieprawdopodobnie trudnych warunkach: uratował on ciągłość kultury polskiej podczas wojny, a dziś sam jest zagrożony mimo zwycięstwa nad wrogiem tej kultury.

Ze zrozumiałych powodów, które bardziej jeszcze niż dotąd zmuszają do największej ostrożności, aby nikogo nie narażać — również niespodziewany doprawdy rezultat zwycięstwa — nie możemy wymienić tu nazwisk ani podawać adresów. Niech wystarczy zapewnienie, że wśród tych, którzy pełni ufności zwracają się do Polskiego Instytutu Naukowego, są zarówno starsi już uczeni, nie-raz o światowej sławie, która niestety mało pomaga Polakom w położeniu obecnym, ci sami, którzy budowali polskie życie naukowe po prawdziwym zwolnieniu ojczyzny przed ćwierćwieczem — jak też młodzi stosunkowo pracownicy, ci, których uratowanie przed niemieckim okupantem witaliśmy ze szczególną radością, widząc w nich następców wyniszczanego pokolenia poprzedniego.

Pisząc do Nowego Jorku, jedni i drudzy nie wiedzą lub zapominają tylko o jednym: że mianowicie tutejszy Instytut Naukowy, zawsze rozporządzający skromnymi tylko środ-

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

kami, dzisiaj sam przechodzi, wraz z wszystkimi organizacjami polskimi, okres wyjątkowo krytyczny. Okaże się dopiero, ilu z posród amerykańskich przyjaciół i współpracowników, których powoli sobie zyskiwaliśmy, wytrwa przy nas w zmienionych warunkach politycznych i dopomoże nam swoimi osobistymi stosunkami w ratowaniu naszych kolegów. Przewszystkiem zaś także Instytut stracił naturalnie subwencję rządową, na której dotąd opierał swoje materialne istnienie i ażkołwiek na szczęście ofiarna zawsze Polonja Amerykańska za pośrednictwem swego Kongresu, obiecała zapewnić mu dalszy byt, będzie miał jeszcze mniejszy niż dotąd budżet. A jeśli chodzi o nowe środki finansowe dla rozległej akcji ratunkowej, która jest naszym obowiązkiem, to znowu tylko do Polonji moglibyśmy się zwrócić, tak, że powstaje istne błędne koło.

Sprawa jest pilna i nie może być załatwiona półśrodkami. Musi być jaknajrychlej opracowany plan systematyczny, zmierzający do stworzenia w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie, albo też w obu tych krajach ośrodka dla uczonych polskich. Jaki powinien być jego charakter i program, dostosowany do najpilniejszych potrzeb kultury polskiej, zagrożonej w swych odwiecznych podstawach; o jakie istniejące instytucje mógłby się oprzeć; skąd wreszcie mógłby czerpać niezbędne środki — oto główne pytania, które trzeba będzie rozważyć z początkiem nowego roku akademickiego na konferencji najkompetentniejszych rzeczoznawców. Polski Instytut Naukowy nie zawaha się przed przyjęciem inicjatywy, ale liczy zwłaszcza na chę-

na jak zwykle, współpracę szczególnie doświadczonej w tej dziedzinie Fundacji Kościuszkowskiej.

Nie przesłalając wyniku tych obrad, niech wolno będzie zauważyć, że przedmiotem szczególnej troski powinni być przedstawiciele nauk humanistycznych, a wśród nich znowu ci, którzy uprawiają wiedzę o Polsce i o jej przeszłości. Uwaga ta nie jest podyktowana osobistym zamiłowaniem, lecz istotą sytuacji w kraju. Nauki matematyczno-przyrodnicze, techniczne, lekarskie, itp., niezależnie od momentów ideologicznych, bę-

dą się mogły rozwijać także pod narzuconym dziś Polsce reżymem. Natomiast tamte nie będą w stanie wypowiedzieć się swobodnie, a zwłaszcza dzieje Polski i jej kultury będą podane pod naciskiem i przymusem, interpretacji sprzecznej z całą naszą tradycją. Tu właśnie trzeba będzie wyręczyć naszych nieszczęśliwych kolegów w kraju, pozbawionych tej wolności, która jest nieodzownym warunkiem zdrowego rozwoju nauki.

Jest to oczywiście tylko jedna z myśli, które się narzucają przy ukła-

daniu planu zamierzonej akcji. Pragnęlibyśmy bardzo zachęcić do dyskusji nad nim, zanim jeszcze rozpoczną się formalne obrady. Wszelkie rady i wskazówki będą przyjmowane z wdzięcznością, a tak samo też wszelką doraźną pomoc w wypadkach indywidualnych, umożliwiającą choć jednemu uczonemu polskiemu twórczą pracę na wolnej ziemi amerykańskiej, pracę, która, jak widać z doświadczeń niejednego z nich, będzie jedynym ukojeniem w coraz głębszej tęsknocie za krajem i straconym ogniskiem domowym.

JERZY BAZAREWSKI

MOI SĘDZIOWIE

(Ciąg dalszy)

Byłem zakłopotany. Milczałem. Nagle oczy jego podniosły się na wysokość moich. — Proszę siadać — rzekł. Przeszywał mnie wzrokiem i zadawał pytania: Jak się nazywacie? Rok i miejsce urodzenia? Zawód? Nic nie notował, z czego wyprorokował dla siebie dobry znak. Oho, pewnie ten jakiś przyzwoity obywatel puścił mnie zaraz. Żeby mi zdążyć dziś jeszcze na pociąg do Wilna. Mama by się ucieszyła. Mój Boże. Bolszewik wyjaśnił, że jest moim sędzią i żywi dla mnie jak najserdeczniejsze uczucia. Przeszedłem tutaj aby powiedzieć prawdę i potem pójść sobie w cztery djabły. Zainteresowałem się: O jakąż prawdę może chodzić temu panu o czystych paznokciach i błyszczącym spojrzeniu? Kiedy dziś, pisząc to pod słonecznym i wolnym niebem Italii, przypominam sobie pierwsze pytania "sledowatiela" śmieję się do rozpuku i za każdym razem powtarzam dobre niemieckie powiedzenie: Boże, jak wielki jest Twój zwierzynek...

Sędzia długo patrzył w okno. Miał regularny profil, mocno wysuniętą dolną wargę; kiwał pod stołem nogami w błyszczących cholewach. Rubaszka była "na wypusk" ale z dobrego materiału i wyprasowana. W pokoju mdo pachniało fryzjernią. Z okna oczy przeniosły się na moją twarz... — powiedzcie — od kogo otrzymywaliście pieniądze na cele szkolenia Rosji, kiedy mieliście zamiar wyjechać na terytorjum Rosji, ściśle Zachodniej Ukrainy, aby na stacji Sarny sprawdzić ruch sowieckich wojskowych pociągów i zrobić to wrócić do Wilna i sprzedać cenne wiadomości? No? Powiedzcie! — Milczałem, potwornie wstrząśnięty fantastyczną brednią. Sędzia

przeniósł spojrzenie znowu na okno: Jeśli powiecie całą prawdę — pójdziecie spokojnie do domu. Jeśli jednak — głos jego stał się rykiem — zechcecie kłamać... dostaniecie w łeb kulą, rozumiecie? — Milczałem. Po twarzy sędziego latały jak ómy cienie. Znowu wbił się oczami we mnie: Mówcie!

Zacząłem mówić: — Trudno mi w tych warunkach coś wam powiedzieć. Zarzuty wasze są zmyślane i tak fantastyczne, że doprawdy na to pytanie nie mam nie potrafię odpowiedzieć... Sędzia rzucił się z za stołu do mnie. Wyciągnął rewolwer. — Polska swótcz, jeśli w tej chwili nie powiesz mi całej prawdy zastrzelę cię jak psa! — Milczałem patrząc bez mrugnienia w oczy potwora. Myślałem w tej chwili intensywnie tylko o jednym: że tyle dni byłem naiwny, głupi i łudziłem się, że zbiry puszcza mnie i cały nasz transport przywieziony z aresztu w Wielkich Solecznikach. Teraz zrozumiałem w nagłym ośnieniu, że oto zamyka się nademną ciężka i straszna, znana z literatury i opowiadań, trumna sowieckich więzień i obozów. Już mnie oni nie puszcza. Może nigdy.

Sędzia po chwili uspokoił się: — "Nie będę na was krzyczał. Na innych ciemnych i niekulturalnych ludzi często muszę podnosić głos. Jesteście jak widzę człowiek światły i delikatny. Wiem że po chwili namysłu powiecie całą prawdę. Wychodzę z pokoju na dziesięć minut. Macie możliwość namyśleć się. Myślcie do brzo i odważnie. Od tego zależy wasza przyszłość. Wasza i waszej rodziny..."

Drzwi zamknęły się. Zostałem sam, z portretami Lenina i Stalina na przeciwległej ścianie. Postanowiłem w jednej chwili: wogóle nie będę odpo-

wiadał temu idjocie. Może robić co chce. I tak wszystko mi jedno. Ale po chwili strzeliło mi do głowy: skąd facet doszedł do takich oskarżeń? Skąd te Sarny i te pociągi? Nigdy nie przyszło mi do głowy w ciągu całego życia jechać do jakichś Sarn... Szybko skojarzyłem: w czasie pierwszej rewizji, bolszewicy odebrali mi razem z dokumentami i zegarkiem mapę Polski Romera na której narysowałem sobie linię demarkacyjną ustanowioną po wrześniu między Niemcami i bolszewikami i na której popodkreślałem nowe sowieckie "oblastnyje" miasta. Między innymi, podkreśliłem nieszczęsne Sarny. To zapewne to. Musieli przecież znaleźć jakiś pretekst do zamknięcia czy rozstrzelania mnie. Znaleźli Sarny. Do Sarn dorobił idjotyczną bajkę szpiegowską.

Sędzia wrócił. Wszedł rozpromieniony uśmiechem: no, co, zastanowiliście się? Teraz już chyba powiecie mi wszystko?

Milczałem. Sędzia oparł się rękoma o stół i nachylił się nad nim: — "Nie myślcie, że wezwałem was dla celów towarzyskiej rozmowy. Uprzedzam ostatni raz: będziecie mówić czy nie?"

— Nie! — odpowiedziałem, i wstałem. Sędzia błyskawicznie znalazł się w kącie i oparłszy się plecami o ścianę, wyrwał z futerału rewolwer: ani kroku naprzód! Za najmniejszy ruch strzelam.

Stałem i patrzyłem mu w oczy. Milczeliśmy obaj przez długą, najdłuższą w moim życiu chwilę.

Potem kazał mi spokojnym już głosem usiąść. Usiadłem. Patrzyłem mu bez przerwy w oczy, powiedziałem: — Czego ode mnie chcecie? Jeśli chcecie mnie rozstrzelać — proszę. Ale nie róbcie z siebie idjoty. Je-

steście przecież sowieckim sędzią, oficerem...

Przerwał: U nas niema żadnych oficerów, u nas są towarzysze i dowódcy... A czego od was chce, pytacie? Prawdy chce i tylko prawdy. Jeśli mi ją powiecie, będziecie wolni. Popatrzcie jak pięknie na dworze, drzewka się zieleńią, niedługo zakwitną kwiatki... zrobi się wiosna, wszyscy porządni ludzie będą na wolności, a wy, jeśli będziecie kłamać, będziecie gnici w więzieniu... poco wam to? No poco?

Odrzekłem: "Powiedziałem wam prawdę, jak się nazywam, co robiłem w Polsce, kim jestem. Ale nie będę kłamać. Choćbyście nie wiem co mi zrobić mieli. Tego odemnie się nie doczekacie... Więcej nie wam wogóle nie powiem, róbcie co chcecie."

Zapanowała w pokoju cisza. Sędzia zawołał stojącego na korytarzu żołnierza z karabinem: odprowadzić do celi. Powiedzieć żeby dyżurny nie dał obiadu. Czekać na moje dalsze rozkazy.

W celi parowało jaglaną kaszą. Ludzie posepnie pytali jak było. — Machnąłem ręką i wyciągnąłem się na podłodze. Ogłupiały, roztrzęsiony i potwornie bezbronny myślałem jedynie o matce i bracie. Oni mają ich adres. Napewno ich zaarrestują.

Po dwudziestu minutach zjawił się dyżurny: Bazarowski, dawajcie k'sledowatielu... Podniosłem się. Poszedłem. W tym samym pokoju siedział inny człowiek. Początek rozmowy był bardzo uprzejmy. Sędzia przeproszał mnie za nietaktowne zachowanie się kolegi i zaręczał, że on ani myśli używać w stosunku do kulturalnego Polaka, wulgarnych metod. Nowy był wysokiego wzrostu, otyły i jasnowłosy. Wyglądał jak ogromne opuchłe dziecko. Rysy miał bardzo ukraińskie. Akcent również. Bębnił po stole grubymi palcami. W pewnej chwili wskazując spojrzeniem na wiszące nad głową portrety Lenina i Stalina powiedział: "My bolszewicy, cokolwiek robimy, robimy dla idei. Oni chcą szczęścia ludzkości, dla tego szczęścia pracowali całe życie..."

"Stalin przecież jeszcze żyje" przerwałem — "a może już również umarł?"

Sędzia skrzywił się: "Stalin żyje, i będzie żyć. A wy jeśli chcecie żeby on umarł — sami możecie przedtem umrzeć..."

"Wiem — powiedziałem — to bardzo prosta sprawa u was uśmiercić jednego człowieka"... W ciągu ułamka sekundy dostałem kolbą nagana w twarz. Osunąłem się na krzesło. Żołnierz zaprowadził mnie do karceru. Przedtem dwóch drabów zdjęło ze

mnie wszystko co miałem na sobie. Chodziłem więc w karcerze krok wprzód i krok wtył, tak jak Pan Bóg mnie stworzył. Na podłodze stała woda na parę centymetrów. W powietrzu panował smród.

Przesiedziałem dwa dni. Codziennie z rana dostawałem trochę ciepłej wody i kawałek chleba. Wyszędłem bardzo słaby i oblepiony jakąś mazią. Chyba z tego ohydneho powietrza bo nie usiadłem w ciągu tych dni ani razu. Oddano ubranie. Poszedłem na śledztwo. Była późna wieczorna godzina.

W pokoju innym już siedziało półkolem na krzesłach kilku sędziów. Za oknem warczał samochód. Pomyślałem: przyszedłem po śmierć. Na środku pokoju stał taboret do góry nogami. Jedna noga zaostrzona na ostrzy szpic. Kazano mi na tym usiąść. Usiadłem. W skroniach huczało zmęczone i nierówno bijące serce. Powiodłem spojrzeniem po otaczających twarzach: dwu już znałem, czarnego z rozdziałkiem i grubasa, trzech innych nie znałem. Zagał czarny z rozdziałkiem: no jak? pomyśleliście co trzeba mówić? Ha! No więc opowiadajcie. Wiecie teraz o co nam chodzi?

— Nie, i teraz nie wiem.

— Ach.. Tak... — I nagle krzyknął: — Wy pracowaliście w radio!

W POPRZEDNIM 34 (139) NU.

MERZE "TYGODNIKA

POLSKIEGO"

Muszą mówić o Polsce; Jan Wolny; Nad Odrą i Nisą; Jerzy Bazarowski:: Moi sędziowie; Kazimierz Wierzyński: Krzyknęli wolność; Rzeźby Stanisława Szukalskiego; Stefanja Zahorska: Noc u sędziego Jeffersona (dokończenie); Opinie i Zdarzenia; Listy polskich żołnierzy.

— Mówiłem, że pracowałem, nie robię z tego tajemnicy.

— Zaraz zobaczymy czy nie robicie tajemnicy: nagrywaliście antysowieckie płyty w waszym radio?

Wszystkie oczy wbiły się we mnie jak sztylety.

— Nie nagrywałem, miałem o wiele bardziej interesujące zajęcie: pisałem różne rzeczy z dziedziny słuchowisk...

— Wy priekrasno gawaricie pa ruski.

— Uczyłem się rosyjskiego.

— Zaczem?

— Tak mi się podobało. Od przybytku głowa nie boli.

— Da... wrat toże umiejetie priekrasno.

Byłem bardzo zmęczony karcerem, siedzeniem na tym szpicu. Nawet w sowieckim więzieniu nie można wytrzymać więcej niż można.

Twarzy sędziów niemal nie widziałem. Przed oczami latały wielkie, czerwone płaty. Było mi już bardzo, bardzo wszystko jedno. Byłem przygotowany na mowę karcery, na śmierć. Za oknem gwizdały jakieś pociągi. Cykał miarowo zegar, pytania padały coraz rzadziej, oni też byli wyraźnie zmęczeni.

Nad sobą wróciłem do celi. Zastałem nowych lokatorów. Pobudzeni ludzie, w pierwszej chwili mruzczeni że im spać nie dają, gdy zorjentowali się jednak że nie było mnie w celi dwa dni, posiadali na narze jak rozczochrane sowy. Drapiąc się pytali: co z panem wyprawiali? Patrzyłem kolejno a uważnie w każdą twarz.. Na lewo, od ściany garbił się podobny do głowy cukru Żyd. Był bardzo zaróżniony i bardzo pewno zawsony, bo drapał się z namiętnością godną lepszej sprawy. Wiedziałem że podejrzewają go o przeprowadzanie ludzi przez granicę sowiecko litewską. Ten miał papierosy i cukier, jakoś pozwalali skamłającej pod więzieniem żonie dostarczać mu tych bezcennych rzeczy. Nazywał się ten człowiek Berek. Przed wojną Berek był biednym pachciarzem i nigdy nie myślał że za przyzbą wsi w której mieszkał, powstanie nagle granica. Berek pytał czasem zwracając się do ściany: czego uni chcą ode mnie... ja nie znam żadne granice... oj, jaka to swołocz... i wzdychał ciężko.

Drugim od ściany był wysoki, z opuszczonymi rudymi włosami, weterynarz z Wołkowyska. Był on oskarżony o... szpiegowstwo plus "proguł", czyli niepunktualne przychodzenie do pracy w sowieckim urzędzie weterynarji w Wołkowysku.

(Dokończenie nastąpi)



PIĘKNO POLSKI

KATEDRA W BUCZACZU (Małopolska Wschodnia)

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PISMIENICTWA

ADAM MICKIEWICZ

O LUDZIACH ROZSĄDNYCH I LUDZIACH SZALONYCH

(ARTYKUŁ W "PIELGRZYMIE POLSKIM" Z DNIA 27 MAJA, 1883)



Adam Mickiewicz

Pierwsze zjawienie się historyczne w Polsce ludzi na urząd rozsądnych i z profesji dyplomatów, przypada na czasy pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego radzono podpisać akt samobójstwa, nie miano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga, w imię **powinności**; trzeba było stworzyć język nowy: rozprawiano więc o **okolicznościach** czasu, **miejsca**, o **trudnościach**, o **nadziejach**; nareszcie zaklinano obywateli w imię **rozsądku**, aby przestali czuć po obywatelsku. Gdzież **rozsądek**, wołano, chceć o pierać się woli trzech dworów? gdzie są **środki** oparcia się? czy jest **czas** po temu? czy nie lepiej **część** poświęcić, aby **resztę** zachować? ze skołatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić, dla ulżenia mu, kilka województw? od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć część, której niepodobna uzdrowić? itd. itd. Tak sprawa ojezysta wpadła od tej chwili na języki sofistów!

Poczcwiwi posłowie, szczególnie z głębi prowincji przybyli, słuchali z podziwieniem nowych dla Polaka rozumowań; nie umieli, nie chcieli nawet wdawać się w rozprawę, zatykali uszy na podobne bluźnierstwa; polskiem sercem, nie mogli pojąć, ani uczuć, jak to sejm miałby Rzeczypospolitą rozdzierać, bliźnich swoich, spółobywateli, w niewolę zaprzeda-

wać. Odpowiedziano im: że sejm posiada **la souverainete!** Przybiegli na pomoc ludziom **rozsądnym** dyplomaci, zbrojni w obosieczne słowa aljansów, gwarancji, traktatów, kartonów, neutralności i nareszcie wzbogacili słownik nasz wyrazem **kordon**, nad którym niegdyś tak dumali politycy nasi, jak potem nad interwencją i nieinterwencją. Zgraja głupców i ludzi bezdusznych wstydziła się przyznać, że tych wyrazów nie rozumie, rada była popisać się nauką szermującą niemi. Rejtan po raz ostatni przemówił starym językiem, zaklinając na **rany boskie**, aby takiej zbrodni nie popełniać; ludzie rozsądni okrzyknęli Rejtana głupcem i szalonym. Naród nazwał go wielkim; potomność sąd narodu zatwierdziła.

Kiedy konfederaci barscy broń pod-

nieśli, znaczna część narodu podzielała ich uczucie; ale rozsądek i polityka tak się rozszerzyły między szlachtą, że zamiast wsiadania na koń, zaczęto rozważać, czy sposobna było pora oczekiwać odpowiedzi z Wiednia, posiłków z Francji itd. Nareszcie konfederacji napadli Stanisława Augusta; krzyknęto, że splamili honor narodowy; konfederatów potępiono jako szalonych rozrzutników. Naród i potomność inny wydały o nich wyrok.

Kiedy na sejmie czteroletnim Korsak w każdą materję wtrącał awa słowa; skarb i wojsko! wojsko i skarb! zaklinając teoretyków, aby zamiast tylomiesięcznego rozprawiania o prawach kardynalnych, zaczęli od poparcia tych **czynem, wojną!** ludzie rozsądni, za to, że Korsak często par-

lamentarnych form nie przestrzegał, nazwali go głupim; stronnicy Moskwy — szalonym.

Kiedy Kościuszko stanął na czele narodu, kiedy Warszawę oswobodzono, Stanisław August, przyjmując deputację rewolucyjną, rzekł napół z płaczem: "To jest wszystko pięknie! c'est sublime! Ale Mości Dobrodzieje, czyż to rozsądnie? Cóż to z tego będzie?"... Kościuszko umarł na wygnaniu; ale zwłoki jego złożył noród w grobach królów naszych. Stanisław August, rozsądny, pochowany był z honorami królewskimi w Petersburgu.

Kiedy w czasie tworzenia się legjonów młodzież polska, opuszczając krewnych, wyrzekając się dóbr, przekradała się pod chorągwie Dąbrowskiego i Kniaziewicza, krzyczano na

tych zbiegów, obwołano ich za szaleńców. Dąbrowski i Kniaziewicz w ówczesnych pismach, wystawieni byli jako szaleni awanturnicy. Znajdował się między awanturnikami zbiegły od rodziny Wincenty Krasiński, który później stał się rozsądniejszy.

O rozsądnych ludziach rewolucji ostatniej zostawiamy sąd pokoleniom. Może nikt z tych, którym zarzucają błędy, nie będzie obwiniony o złe chęci, o brak miłości ojczyzny; może najczęściej przez wstyd fałszywy, przez bojaźń śmieszności, przez żądę popisania się wiadomościami prawnymi i parlamentarskimi, ludzie poczcwiwi nie śmieli radzić się uczucia swego, sumienia, ale biegali po rozsądek do głowy i do książek.

Co z tego wszytkiego wnosimy? Oto: że rozsądek, czyli wzgląd na

okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest trybunałem na sądenie spraw dotyczących się wieków i pokoleń; rozsądek pojedynczy jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego. W czasach, kiedy umysły chore na sofisteryję pozwalają sobie o wszystkim rozprawiać na prawo i lewo, rozum rodu ludzkiego, wygnany z książek i rozmów, chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi **czujących**. Skazówką tych ludzi jest uczucie powinności. Godne uwagi, że jeden z naszych generałów zasłużonych, pierwszy, ile nam wiadomo, śmiało na czele pamiętników swoich marnotrawnych napisał te słowa: "Czułem, że o powinności nie wolno rozumkować".

Jeżeli kto się spyta, coż jest powinnością Polaka dzisiaj? w tej godzinie? w tem lub owem zdarzeniu? Nie podajemy sobie za wyrocznię, nie umiemy nic powiedzieć człowiekowi, któremu jego sumienie nie mówi. Niech czeka! Lepiej robi, nie mieszając się w wypadki i w rozmowy. A jeśli szuka nauczyciela i książek, niech weźmie na uwagę krwawą lekcję demonstrowaną w Fischau, w Kronstadt; niech rozbierze kurs polityki, którzy wykładają bracia nasi przy taczkach w twirdzach pruskich. Tym tylko profesorom przyznajemy prawo rozprawiać o działaniu terazniejszym braci naszych w Polsce; oni sądem przysięgłym wojennym zawyrokują o ich zasługach.

"Pielgrzym" nie śmie mierzyć swoim rozsądkiem przedsięwzięcia i działania ludzi, którzy czują, że powinni, że umkają i że mogą coś wielkiego dla dobra ojczyzny zdziałać. Nie weiska się jak nieproszony świadek, tem mniej jak sędzia, między sumienie tych ludzi i Opatrzność! I drugim weiskać się nie radzi; w przekonaniu, że wszelki zamiar, o ile był czysty od widoków osobistych, od chęci wyniesienia się lub poniżenia innych, o tyle się uda, to jest: przyniesie pożytek sprawie ojczystej zaraz lub w przyszłości.

DO NIEMNA

*Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?*

*Tu Laura patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos rozplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jej malowny w srebrnej fali tonie,
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody.*

*Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte źródle,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędyż jest miłe latek dziecinnych wesele?*

*Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? Gdzie są przyjaciele?
Wszystko przeszło — a czemuż nie przejdą tzy moje?*

STEPY AKERMAŃSKIE

*Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.*

*Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek lodzi.
Tam zdala błyszczą obłoki? tam jutrzienka wschodzi?
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu!*

*Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące żorawie,
Którychby nie doścignęły żrenice sokoła;
Słyszę kędy się motyl kołysa na trawie,*

*Kędy wąż śliską piersią dotyka się ziola...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!*

LUDWIK BERGER

EGZOTYCZNI MĘŻOWIE STANU

Od niewybudowanego jeszcze portu egipskiego El Solum (nieco powyżej El Alamein) do perskiego portu Pahlevi kłębią się, ciasno tuż obok siebie królestwa, emiraty, szachaty, mandaty i wreszcie dwie republiki arabskie Syrii i Libanu. Z temi republikami było ostatnio najwięcej kłopotu. Niewiadomo czy kłopoty te wynikają z faktu, że władcy w ustrojach republikańskich muszą bardziej zabiegać o popularność wśród ludu, niż władcy monarchiczni. Niewiadomo czy może dlatego, że ustępstwa czynione przez monarchów na rzecz obcych mocarstw kosztem własnych krajów podlegają mniej dyskusjom publicznym w parlamentach i wskutek tego nie wywołują stanów niepokoju z jego wulgarnymi formami ulicznego hałasu, z okrzykami niezawsze parlamentarnymi i aktami często niedyplomatycznymi.

Jedno wiadomo, że w tej stronie świata, na Middle Eaście, zupełnie podobnie jak w każdej innej stronie świata, politykę robią ludzie. O politycznych kierunkach rozstrzyga kilka indywidualności. Nie można zrozumieć wydarzeń politycznych, rozgrywających się dziś na Środkowym Wschodzie, nie mając przed oczyma owych kilku indywidualności politycznych, które decydują o tem, że prasa pisze a tłumy chodzące ulicami wierzą i myślą, iż posunięcia jednych mocarstw są przyjazne, a posunięcia innych mocarstw niczem nie różniące się od poprzednich, są nieprzyjazne, że jedne zdarzenia są "demokratyczne", a inne "imperialistyczne". Aby zrozumieć wypadki na Middle Eaście, którymi zajmują się w tej chwili nietylko politycy, ale zwyczajni zjadacze chleba na całym świecie, należy przypatrzeć się sylwetkom kilku miarodajnych osobistości świata arabskiego.

Najbardziej zwraca uwagę na siebie w politycznym świecie arabskim młody król Egiptu, Faruk. Jeszcze do niedawna, w okresie sprawowania rządów w Egipcie przez gabinet wafdyjski, znaczenie króla Faruka polegało głównie na jego dość częstem fotografowaniu się we francuskim tygodniku, drukowanym w Kairze pod nazwą "Images". Wówczas prasa egipska przynosiła często fotografie premiera Nahas Paszy, polityka, który zwracał swe ambicje wyłączenie ku interesom egipskim w granicach egipskiego państwa. Nahas Pasza nie był panarabistą. Król Fa-

ruk widzi swą rolę polityczną w zrealizowaniu idei panarabskiej, a może ogólnie muzułmańskiej. Pojmowanie misji Egiptu w świecie arabskim jako misji religijnej, tłumaczy się w języku politycznym dążnością króla Faruka do zdobycia kalifatu. Od czasu upadku państwa ottomańskiego, tj. od czasu odejścia sułtana, który równocześnie był najwyższym prawodawcą religijnym Islamu, tj. Kalifem — opróżnił tron kalifatu. Kairski uniwersytet religijny Al Azhar starał się przez dwadzieścia lat od chwili zniknięcia kalifatu wypełnić duchową lukę w organizacji Islamu. Ale zwierzchnikiem Al Azharu jest król Faruk. Kalifat był naturalną unją panarabską pod berkiem sułtańskim. Mocarstwa europejskie, w których interesie leży unja panarabska nie miałyby nic przeciw temu, by władca Egiptu zjednoczył w swej osobie także godność kapłańską. W wysiłkach Wielkiej Brytanji, mających na celu stworzenie federacji arabskiej okazał się król Faruk najbardziej oddanym sprzymierzeńcem. Istnieje jednak niewątpliwy konkurent do szaczonej godności kalifa. Jest nim król Saud Arabji i Hedżasu, Abd El Azis Ibn Saud. Jemu to podlegają najświętsze miejsca kultu islamskiego Mekka i Medyna. On też uważa sam siebie i jest uważany przez wielu innych za najwłaściwszego arcykapłana wiary Mahometa. Do niedawna ortodoksyjny mahometanin, wódz Wahabitów, król Ibn Saud nie uznawał możliwości porozumienia się na tematy islamskie z kimkolwiek. Dopiero pierwszy raz w historii swego długiego żywota (Ibn Saud jest starcem siedemdziesięciokilkuletnim) zgodził się król Saud Arabji w grudniu 1944 na ołbicie rozmowy z królem Farukiem. Prawdopodobnie doszło do jakiegoś porozumienia pomiędzy dwoma monarchami arabskimi. Nie załatwiono wprawdzie sprawy kalifatu, ale prawdopodobnie załatwiono inną niepomiernie ważną w polityce-arabskiej sprawę wpływów dynastji Haszemitów. Ibn Saud wygnał dwadzieścia kilka lat temu króla z rodziny Haszemitów z Emiratu Yemen (Hedżas) na półwyspie arabskim. Od tego czasu żywi Ibn Saud nienasyconą nienawiść do dynastji Haszemitów, którą polityka brytyjska osadziła w międzyczasie na tronach Iraku i Transjordanji. W planach panarabskich możliwe jest uzgodnienie się Egiptu i Saud Arabji, Kairu i Mekki — niemożliwe jest

uzgodnienie się Mekki i Bagdadu, Medyny i Amanu.

Obok suwerennych państw arabskich, mniej lub więcej do siebie zbliżonych, lub mniej lub więcej między sobą poróżnionych głównie na tle sporów dynastycznych, istnieją co dopiero powstałe republiki arabskie Syrii i Libanu i istnieje arabskie społeczeństwo w Palestynie, które chce być traktowane na prawach państwowych. Ton w polityce syryjskiej nadaje, bez względu na to, czy jest w danym momencie na urzędzie ministra spraw zagranicznych republiki syryjskiej, czy też jest chwilowo człowiekiem prywatnym, Jamil Mardam Bey. Jamil Mardam występował już na arenie politycznej w 1919 jako przedstawiciel Arabów na konferencji pokojowej, a w 1925 jako przywódca bloku narodowego i premier pierwszego gabinetu w Syrii. Jest on przy swym niezaprzeczonem wpływie na terytorium syryjskim, najbardziej niepopularnym człowiekiem w Libanie. Dąży on do włączenia Libanu do Syrii, a w dalszej kolejności do włączenia Syrii do federacji panarabskiej. Znane jest jego oświadczenie, że "pragnąłby bardziej być miałym urzędnikiem w federacji arabskiej, niż ministrem w suwerennej Syrii", niemniej znana jest odpowiedź libańskiego ministra spraw zagranicznych Faraona, brzmiąca, że "wolałby być przedstawicielem małej ale wolnej wsi, niż dygnitarzem wielkiej organizacji państwowej, któraby nie dała narodowi jego wolności". Jamil Mardam Bey jest tym, któremu przypisuje opinia inicjatywę wszystkich skrajnych wystąpień na terenie Syrii. Jamil Mardam Bey, który jest niewątpliwie zdecydowanym bojownikiem idei panarabizmu, jest conajmniej w równym stopniu zdeklarowanym przeciwnikiem Francji. Prasa sowiecka nazywała go w ostatnim czasie często sympatykiem W. Brytanji.

Do osobistości świata arabskiego trzeba zaliczyć także pewną prywatną osobę. Osobą tą jest Musa El Alami, Arab palestyński, do niedawna doradca prawny administracji brytyjskiej w Palestynie. Karjerę swą rozpoczął Musa El Alami zaledwie kilka miesięcy temu. Kiedy kilka miesięcy temu rozpoczęła się panarabska konferencja w Aleksandrii nie mogły pogodzić się partje Arabów palestyńskich co do składu delegacji. Ta niezgoda zrodziła przypadkowe wydelegowanie Alamięgo. Od chwili

swego udziału w konferencji alksandryjskiej rozmiłował się Musa El Alami w delegacjach i rozjazdach. Wyjeżdżał więc początkowo na swój koszt prywatny, a potem zasilany z różnych budżetów wielokrotnie do Bejrutu i Damaszku, do Kairu, do Ibn Sada, a ostnio do San Francisco. Wtajemniczeni twierdzą, że

głównym zadaniem życiowym Alamiiego jest stworzenie arabskiego biura propagandy w Nowym Jorku. — Chciałby on stanąć na czele takiego urzędu arabskiego i z odległej półkuli zachodniej decydować o wydarzeniach na Wschodzie. Pozostająca pod wpływem sowieckim jaffska gazeta "Falastin" oceniła ostatnio

Alamięga, Jamlla Mardama i innych zwolenników federacji panarabskiej jako karjerowiczów, którym zależy wyłącznie na papierowych zwycięstwach i brzęczących zyskach... Świadczy to, że kierunek panarabski nie odpowiada w tej chwili zainteresowaniom jednego z mocarstw na Środkowym Wschodzie ...

ROMAN FAJANS

BOHATERSKA SZKOŁA

Villard de Lans, Vercors.

Vercors ma już we Francji swą głośną legendę. O tym płaskowyzu, stanowiącym część francuskiego Przedalpia, napisano już, od czasu wyzwolenia, setki artykułów i reportaży oraz szereg mniejszych i większych broszur. Tutaj bowiem, w tych malowniczych, pokrytych gęstym lasem górach, na wysokości 800-1000 mtr., w ich miasteczkach i góralskich chutorach rozegrał się jeden z najbardziej bohaterskich epizodów francuskiego Maquis. Tutaj, korzystając z dogodnej konfiguracji terenu, francuski ruch oporu rozwinął się najintensywniej i osiągnął chyba swój punkt kulminacyjny.

To wszystko jest znane we Francji. O'czem jednak nikt tu prawie nie wiedział dotychczas, to o udziale Polaków w owej epopei Vercors'u. Nikt prawie nie słyszał o tem, że w Villard de Lans, tam samem, w którym proklamowano IV-ą republikę francuską, istniało od jesieni 1939 roku wielkie gimnazjum polskie, jedyne tego typu i o tym poziomie na kontynencie europejskim. I nikomu z Francuzów nie znana była bohaterska rola, jaką ta szkoła polska odegrała w vercońskiej epopei.

Byłem ostatnio w Villard de Lans i odwiedziłem tę szkołę. Liczy obecnie ponad 200 młodziży płci obojga, 20 osób dyplomowanego personelu nauczycielskiego i ponad 20 osób służby i robotników. Mieści się w kilku wynajętych hotelach miejscowych, poza tem zaś lekcje odbywają się w dwu kawiarniach (brak innych lokali...) Poziom szkoły jest bardzo wysoki, czego zresztą najlepszym dowodem może być fakt, że matury jej uznawane są przez oświatowe władze francuskie i dają prawo wstępu na wszystkie wyższe uczelnie Francji. Matur takich gimnazjum wydało dotychczas ponad 150.

Młodzież nasza posiada w Villard idealne warunki klimatyczne. Nie darmo miejscowość ta zwana była od dawien dawna "dziecięcym rajem".

Położona na wysokości prawie 1,000 mtr., otoczona pięknymi zalesionymi górami, zalana słońcem, ściągająca ona zawsze wielką ilość dzieci francuskich, które uczyły się tam w licznych zakładach i pensjonatach. Od r. 1939, do tych dzieci francuskich przybyły dzieci polskie. I wrosły już tak mocno w rzeczywistość tamtejszą, że trudno po prostu było by sobie dziś wyobrazić Villard de Lans bez tych polskich dzieci.

Odżywianie młodzieży naszej jest maogół zupełnie wystarczające, a nawet, jak na obecne stosunki aprowizacyjne we Francji, doskonałe. Bardzo pomocna w tym względzie jest dzikrzawiona przez szkołę ferma, na której pracuje sama młodzież. Warunki mieszkaniowe są znośne: chłopcy i dziewczęta ulokowani są w oddzielnych hotelach, po 2 do 5 osób w pokoju. W internatach dla dziewcząt odczuwa się ciasnotę, gdyż napływ kandydatek do szkoły był w roku bież. niezwykle wielki i, z ciężkim sercem, odrzucić trzeba było cały szereg zapisów. Hamuje pracę szkoły dotkliwy brak podręczników i utensyljów. Młodzież uczy się przeważnie ze skryptów, opracowanych we własnym zakresie przez nauczycieli i wieloimnych na Roneo. Widziałem niektóre takie podręczniki, liczące po dwieście stron i więcej. Nawet mapy ściennne (wśród nich i wielobarwne) wykonane zostały systemem samowystarczalnym przez studentów Polaków z uniwersytetu w Grenoble.

Póki nie było we Francji południowej wojsk niemieckich, praca w szkole szła jako tako. Vichy czyniło wprawdzie trudności, ale, ostatecznie można było dać sobie radę z jego władzami. Z chwilą okupacji południa Francji (późną jesienią 1943 r.), sytuacja pogorszyła się wybitnie. Niemcy usiłowali zniszczyć polską szkołę za wszelką cenę. Czyhali tylko na sposobność, by gimnazjum zamknąć. Ale kierownictwo i personel nauczycielski szkoły postępowały tak zręcznie i ostrożnie, że sposobność taka nie nadarzyła się nigdy. I szkoła pol-

ska w Villard de Lans, pomimo wiążącego nad nią stale miecza Damoklesa, pracowała nadal.

Już na wiele czasu przed omawianymi wyżej wypadkami w Vercors gimnazjum polskie zaznaczyło czynnie swój udział w walkach polskich o wyzwolenie. Ponad 50-u starszych uczniów przeszło potajemnie Pireneje, by po nieprawdopodobnych przygotowaniach dostać się do Anglii, gdzie wstąpili w szeregi naszej armji. Wielu dawnych wychowanków szkoły walczyło w jednostkach dywizji generała Maczka, kilku poległo już nawet.

Gdy zaczęła się vercońska epopeja, w gimnazjum zawrzało. Żadna siła ludzka nie potrafiła utrzymać spokoju wśród chłopców. Rwali się oni do czynu, do walki, 11go czerwca 1944 r., a więc w parę dni po rozpoczęciu inwazji, Niemcy przybyli do Villard de Lans. Wtargnęli do szkoły i rozkazali dyrektorowi drowi Bergerowi, nauczycielom i uczniom wyjść na podwórze. Tam, pod strażą karabinów maszynowych, ustawiono ich w szeregi i oświadczone im, że uważani będą wszyscy za zakładników. Wszyscy wiedzą co to znaczy...

W międzyczasie Gestapo przeprowadziło dokładną rewizję wszystkich budynków szkolnych. Ponieważ nie znaleziono nic podejrzanego, zwolniono wkrótce, na ten raz jeszcze, nauczycieli i uczniów, zapowiadając im jednak, że jeśli przytrzymani zostaną raz jeden, śmierć ich nie minie.

Gdy wreszcie oddział niemiecki opuścił Villard de Lans, ludność miasteczka odetchnęła. W gimnazjum wszystko powróciło do normy, nie na długo jednak. Już 15-go lipca Niemcy pokazali się znowu w Lans, o 6 km. od Villard i zaczęli tam przeprowadzać spis mężczyzn. Było to sygnałem alarmu dla szkoły polskiej. Dyrektor i nauczyciele postanowili nie czekać już tym razem na oprawców z SS, lecz zabrać starszych uczniów i pójść z nimi w góry, by tam przyłączyć się do walczących FFI. Nazajutrz wszyscy nauczyciele i inni pracownicy za-

kładu oraz chłopcy powyżej lat 16, razem dwudziestu siedmiu, znikli z Villard de Lans.

Po przyłączeniu się do FFI, 27-u Polaków rozdzielonych zostało po poszczególnych oddziałach. Jedni otrzymali posterunki w Vassieux, inni w Saint Martin, jeszcze inni w Saint Agnan. Rozpoczęła się gwałtowna ofensywa dwóch dywizyj niemieckich. Po silnym bombardowaniu lotniczym szybowce niemieckie wysadziły w różnych punktach Vercors'u oddziały Reichswahry. Wywiązały się ciężkie, krwawe walki. Nie liczne stosunkowo i słabo uzbrojone oddziały FFI, wraz z 27-u wcielonymi do nich Polakami z gimnazjum w Villard de Lans, stawiły przez szereg dni bohaterski opór olbrzymiej przewadze wroga. — Przewaga ta jednak była zbyt wielka, by opór mógł trwać długo. Cóż mogli zdziałać ci dzielni lecz niedoświadczeni w wojnie nowoczesnej ludzie przeciw znakomicie uzbrojonym i wyćwiczonym, dziesięciokrotnie liczniejszym oddziałom niemieckim? Cóż mógł zdziałać taki uczeń polskiego gimnazjum, Hernik, ze swym karabinem maszynowym, lub kolega jego, Szuperski, lub wreszcie bohaterski stolarz szkolny, Wilk? Cóż mogli zdziałać bohaterowie z francuskiego Maquis, walczący gołymi niemal rękami? Co najwyżej zginąć na posterunkach, co też w ogromnej większości uczynili. Bitwa była przecież z góry przegrana..

25go lipca bitwa o Vercors była ukończona. Niemcy odnieśli decydujące zwycięstwo. Cały Vercors spłynął krwią, szkoła zaś polska z Villard de Lans mogła dokonać wreszcie bohaterskiego lecz krwawego bilansu swej epopei. Z 27, którzy opuścili gimnazjum, 11 czyli połowa prawie, nie powróciła. Szesciu uczniów zginęło w walkach: Zglinicki (18 lat), Dellingier (19 lat), Pawłowski (20 lat), Nowak (niecałych 16 lat), Czarnecki (17 lat) i Łukomski (17 lat). Siódmy, Hernik, ten sam, który obsługiwał karabin maszynowy, dostał się do niewoli i został przez Niemców rozstrzelany. Podzielili jego los dwaj profesorowie, Harwas i Gerhardt, oraz lekarz zakładowy, dr. Wolfle. — Ujęci przez Niemców, rozstrzelani zostali w Lyonie, na lotnisku. Zginął również stolarz szkolny, Wilk, odznaczony francuskim Krzyżem Wojennym za poprzednie walki w Vercors. Niemcy zemścili się na nieugiętej polskiej szkole.

Widać widać świeżych krzyży na małym cmentarzyku w Villard de Lans. Są one skromne, drewniane, pomalowane na biało. Na tabliczkach ich wypisane są nazwiska żołnierzy z FFI poległych za Francję. Jest jednak

VICTORIA JANDA

W A R S A W

I.

*Oh, are there words in any living tongue,
Or mystic words that I would thrice command,
Or words that tremble in the spheres among
The yet unborn great gifts of sea and land —
Words that would flow into my tortured soul
For spinning into prayer of flame and tears —
Prayer worthy of the heavens for a scroll
To weep and burn there all the future years!*

*But words are vain... I shall build out of stone,
Drenched with the holy blood of those who died,
A plaint of how you fought and bled alone —
A plaint of how the cruel mouth had lied —
A plaint of blood and stone to split the skies
And bring your pain to God's and angels' eyes!*

II.

*But God is far beyond the space of spheres,
Beyond the steepness where the steel birds climb,
Beyond the vastness where no thought appears
To challenge cause and mystery of time.
The angels weep with folded wings around
The bier of justice, oh, where she lies slain,
Having been overtaken, struck and bound
By masked assassins of the mark of Cain.*

*O nations, statesmen, presidents, and kings,
How came you to be blinded to this deed
Of perfidy? See you now how it flings
From its red pod a poisoned bitter seed
While laurel leaves, again and yet again,
Weep with the blood of those who died in vain...*

między nimi siedem krzyży, tworzących osobną grupę. Są one otoczone niewielkim ogrodzeniem z kamieni, pośrodku którego widać ułożonego z kamyczków Orła Białego na czerwonym tle. Same krzyże różnią się także od pozostałych. Nad tabliczkami widać na nich barwy francuskie, na dole zaś polskie. Na samych tabliczkach

odczytać można nazwiska o nie francuskim brzmieniu. Są to nazwiska chłopców polskich, którzy, zdala od Ojczyzny, ponieśli bohaterską śmierć w walkach o Vercors. Najmłodszy z nich nie miał jeszcze szesnastu lat. Tak jak koleczy jego, poległ za Polskę i za Francję, za wspólną sprawę wolności.



Dochodzi nas z Paryża, wzruszający rysunek świetnego poety Jean Cocteau przedstawiający zmarłego przed rokiem znakomitego pisarza i dramaturga Jean Gireaudoux na łożu śmierci.

Pisarze rosyjscy o Polsce

...Nie mówiąc o rozmaitych drogozrzednych powieściach lub dramatach w stylu utworów Zagoskina czy Połońskiego, pisarze najprzedniejsi, tacy, jak Gogol, Turgieniew, Lew Tołstoj (w pierwszej połowie życia i twórczości), przedewszystkiem zaś Dostojewskij, nie potrafili się obronić przed pokusą degradowania typu Polaka. Dostojewskij, jak wiadomo, posunął swoją nienawiść Polski do granic, gdzie się zaczyna patologia a kończy normalne rozumowanie. Wymieniłem tu tylko nazwiska największe, ileż możnaby tymczasem znaleźć przykładów sarkazmu, ironji, wgardliwej niechęci, albo nawet i nieukrywanej awersji w stosunku do nas wśród niezliczonych rosyjskich drugorzędnych i trzeciorzędnych utworów beletrystycznych ubiegłego stu-

lecia? Fenomen ten, nie dający się na pierwszy rzut oka ani wyjaśnić ani tembardziej usprawiedliwić, — cnota przecież o stosunek zaborcy do ujarzmionego narodu, — znajduje, jak mi się zdaje, pewne wytłumaczenie właśnie w jakiejś udziale Rosji w rozbiorach Polski. Ideolodzy rosyjscy, reprezentujący narodowe sumienie rosyjskie, odnajdywali w akcie etycznego degradowania Polaka i Polski swego rodzaju środek moralno-nasenny: aktem tej degradacji zagłuszali w sobie i w społeczeństwie swoim głos sumienia, którego nie mogła nie budzić krwawa krzywda Polski. Rosjanie są politykami z urodzenia i imperialistami z krwi, stąd poczucie rosyjskiej politycznej racji stanu było w nich zawsze mocno zakorzonione, i do dobrowolnego wyrzeczenia się zdobytych swego imperjum Rosjanin rzadko bywał zdolny. Trzeba było jednak jakoś sobie poradzić z krzywdą polską i "spór rosyjsko-polski", zwłaszcza na terenie

konstrukcji i spekulacji słowiańskich drastyczny, jakoś załatwić; w podświadomości Rosjan tej miary, co Dostojewski, krzywda polska musiała tkwić w postaci dojmującego, nieznośnego wspomnienia. Wspomnienie to likwidował, pastwiąc się nad nim — zwykły to przebieg moralno-psychologicznego procesu w sumieniu krzywdziciela. Proces ten zawiera w sobie podświadomą potrzebę usprawiedliwienia krzywdy, za którą jest się odpowiedzialnym, skoro się w jej obronie głosu nie podnosi. Takim krzywdzicielem był Dostojewskij — bo..nie protestował, natomiast jego "poleciszki", to swego rodzaju paradoksalny akt ekspiacji, niewątpliwie bowiem sprawa ta należy również do dziedziny fenomenologii przestępstwa w ideologiczno-psychologicznym systemie Dostojewskiego.

Wacław Lednicki

(Przyjaciele Moskale,
Kraków 1935; str. IX-XI).

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

SZKOŁA TŁUMACZÓW

"The Wayside Willow", almanach tłumaczeń z literatury polskiej dokonanych przez studentów Klubu Polskiego przy Uniwersytecie Columbia, pod redakcją p. Marion Moore Coleman, sygnalizowany przez nas w poprzednim numerze "Tygodnika" jest tomikiem, który poza tem, że zdradza wysoki poziom tłumaczeń, oraz szerokie zainteresowania członków Klubu, w prozie sięgające od Reja do Wańkowicza, a w poezji od Kochanowskiego do Broniewskiego, zadziwia nas przedewszystkiem liczbą dobrych tłumaczy — przedstawia ich bowiem conajmniej piętnaścioro. Z nich kilku, jak np. panią Coleman, pannę Loretę M. Bielawską i Teodora Plucińskiego (obecnie w armji amerykańskiej) znaleźmy już przedtem, wielu jednak, w tem także studenci pochodzenia niepolskiego, stanowią niespodziankę, mówiącą o tem, że koło miłośników literatury polskiej w New Yorku rozszerza się i że nie brak między nimi ludzi prawdziwie utalentowanych.

Przedmowa prof. Colemana mówi o dydaktycznym podejściu do samego zagadnienia przekładów.

Klub Polski projektuje coroczne wydawanie tego rodzaju tomu. Witamy ten zamiar z radością, nie wątpiąc, że realizacja tego projektu, budząc coraz szersze zainteresowania zarówno wśród tłumaczy jak i wśród czytelników, doprowadzi do podsumowania tej pracy wydaniem obszernej antologii poezji i prozy polskiej w tłumaczeniu angielskim, której zjawie nie się wypełni w bibliotekach tujszych dawno odczuwaną lukę i stanowić będzie bezcenną pomoc w zbliżeniu Polski i Ameryki na gruncie kultury.

KATEDRA LITERATURY POLSKIEJ W LOS ANGELES

Organizacje polskie w Los Angeles podjęły od pewnego czasu starania, aby w miejscowym uniwersytecie "University of Southern California" była utworzona katedra języka, literatury i kultury polskiej. W Kalifornji bowiem zamieszkuje obecnie kilka tysięcy Polaków, w dodatku napływ naszych rodaków ze stanów wschodnich rośnie z dnia na dzień. Kilka dni temu odbyła się konferencja z Prezydentem uniwersytetu, w której wzięli udział przedstawiciele organizacji polskich panie Kudlicka i Schmidtowa, oraz panowie Wacław Danielski i Meyer. Konferencja dała pomyślny naogół wynik. Uniwersytet zasadniczo zgodził się na utworzenie

katedry polskiej, ostateczną jednak decyzję uzależnił od zapisów studentów pochodzenia polskiego. Organizacje miejscowe apelują przeto do młodzieży polskiej, by zapisywała się na wykłady, utworzenie bowiem katedry polskiej ma wielką doniosłość narodową. Katedrę powierzono znanemu pisarzowi i poloniście, byłemu współredaktorowi naszego pisma, dr. Zenonowi Kosidowskiemu.

WYKŁADY PROF. SKŁODOWSKIEGO

Prof. Włodzimierz Skłodowski, który od pięciu lat prowadzi katedrę kultury polskiej na Uniwersytecie De Paul w Chicago został ponownie obrany sekretarzem Oddziału Środkowo-Zachodniego Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, oraz powołany przez Northwestern University jako wykładowca. W związku z tym w roku 1945-1946 prowadzić będzie on wykłady z zakresu kultury polskiej w dwóch uniwersytetach.

POR. LEON KORPANTY

Porucznik pilot Leon Korpanty, syn wiceprezesa Sokolstwa Polskiego w Ameryce i znanej powszechnie działaczki, był tym oficerem amerykańskim, któremu wespół z kolegą przypadło w udziale aresztowanie Pierre Laval'a po jego przybyciu samolotem niemieckim do Linz, w Austrii.

Por. Korpanty, tak jak inni Amerykanie pochodzenia polskiego, nawiązał bliższe stosunki z uchodźcami

polskimi w czasie swego pobytu w Europie i miał możliwość bezpośredniego zapoznania się z ogromem nieszczęść, strat i poniewierki, jako stała się losem milionów Polaków.

POLAK PRZYWIÓZŁ JAPONCZYKÓW DO MANILI

Por. Józef Soja z New Yorku był członkiem załogi amerykańskiego transportowca, który przywiózł do Manili japońskich wysłanników pokojowych.

KURSY POLSKIE

Downtown Center Amerykańskiego Uniwersytetu w Waszyngtonie, D. C. ofiarowuje swoim słuchaczom kurs polskiej konwersacji, której naucza Irena Popławska. Wśród studentów, jacy zapisali się na ten kurs, są także słuchacze pochodzenia niepolskiego.

POTRZEBA PORTERÓW

dla dużego budynku biurowego, stała praca, dzienna, nocna \$40.00 wraz z "overtime"

Należy zgłosić się do
PANA INGE
59 PINE STREET
NEW YORK CITY, N. Y.

POTRZEBA KOBIET

do czyszczenia w dużym budynku biurowym, stała praca, \$31 wraz z "overtime"

Należy zgłosić się do
PANA INGE
59 PINE STREET
NEW YORK CITY, N. Y.

TEATR JEŃCÓW POLSKICH W MURNAU



"GWAŁTU CO SIĘ DZIEJE"

OPINJE I ZDARZENIA

ŻYJĄ CZY NIE ŻYJĄ?

Overseas News Agency podaje, że we wrześniu odbędzie się w Warszawie międzynarodowy kongres architektów połączony z rozpisaniem konkursu na odbudowę stolicy. Jednocześnie dowiadujemy się o zmianie decyzji w sprawie przeniesienia Akademii Sztuk Pięknych z Warszawy do Łodzi. Siedzibą tej Akademii będzie nadal Warszawa (gmach "Zachęty"). Rektorem Akademii mianowany został prof. S. Chrostowski, wykładają profesorowie: Bartłomiejczyk, Kowarski, Brzyer, Pniewski, Gutt, Daszewski, Walicki.

Nie mamy niestety możliwości sprawdzenia tych wiadomości. Według innych poprzednich danych — Bartłomiejczyk miał zginąć w Oświęcimiu, Pniewski w Warszawie, Kowarski miał umrzeć na serce, Chrostowski zginąć w bombardowaniu na początku wojny.

Jeżeli mimo tych smutnych doniesień wszyscy wymienieni żyją — to naprawdę jest to radosna wiadomość. Dopiero jednak swobodna komunikacja z Polską, otwarcie jej granic i nieskrępowana cenzura, możliwość pisania do Polski rozwiąże może nasze wątpliwości.

CO DONOSZĄ Z POLSKI?

Do informacji ONA mówiącej, że w Poznaniu znaleziona została statua prezydenta Wilsona, dłużej Trzebińskiej-Kamińskiej, zakradł się błąd. Stał bowiem w Poznaniu jedynie pomnik Kościuszki, dłużej Trzebińskiej-Kamińskiej, pomnik Wilsona natomiast wykonany był przez artystę rzeźbiarza amerykańskiego Borgeuna i ufundowany dla Poznania przez Ignacego Paderewskiego. Według dalszych wiadomości z wyżej podanego źródła, Muzeum Zachodniej Polski odszukało 250 obrazów znanych malarzy polskich, jak również część książek biblioteki Raczyńskich, skradzionych przez Niemców. Donoszą poza tym, że Instytut Fryderyka Szopena w Warszawie otrzymał dziesięć dotąd nieopublikowanych listów Szopena, pisanych do Delfiny Potockiej w latach 1832-1848. Listy te dotyczą rzekomo poglądów kompozytora na kwestje muzyczne i zawierają liczne karykatury narysowane ręką Szopena. Nie wiemy oczywiście kto jest ofiarodawcą i jak wygląda Instytut Szopena w spalonej Warszawie. Według ostatnich wiadomości odbył się tam pierwszy od czasu wojny koncert symfoniczny. Solistą był Henryk Sztopka.

DZWONY Z POLSKI

Z Londynu donoszą, że w trzech fabrykach niemieckich w Hamburgu pewien oficer polski odnalazł niedawno 150 skradzionych dzwonów kościelnych z których większość pochodzi z Polski. W "Nord-Deutsche Raffinerie" wykryto dzwon z Gdańska, na którym jest wyrity rok 1477 i polskie orły. Znaleziono również liczne płaskorzeźby, tablice brązowe i inne ozdoby kościelne, jakie okupanci niemieccy wywieźli z ziem polskich. Przewiduje się, że w Hamburgu są ukryte mosiężne przedmioty wywiezione z zamku królewskiego na Wawelu w Krakowie. Nie wiemy jednak dotąd jaki jest los Wawelskiego Zygmunta?

ZOFJA KOSSAK OCALONA

Długo czas niepokoił się wszyscy losem Zofji Kossak-Szczuckiej, świetnej pisarki polskiej, której powieść "Bez oręża", wydana w Ameryce pt. "Blessed are the Meek", zdobyła sobie ogromną poczytność i dobrze przysłużyła się imieniu Polski. Wiedzieliśmy, że pani Kossak brała czynny udział w życiu Polski Podziemnej i że była autorką kilku wydawnictw podziemnych, ale o kolejach jej życia po upadku powstania warszawskiego było głucho. Nikt nie wiedział co się z nią dzieje.

W ostatnich dniach nadeszła nagle radosna wiadomość. Pani Kossak

żyje, jest ocalona!! Znajduje się w Szwecji, skąd niedługo przybędzie do Ameryki. Cieszymy się z głębi duszy tą wiadomością, cieszymy się że przybysza do nas tak znakomita pisarka, chcemy ją powitać czempredzej i jak najserdeczniej.

POLACY BEZ KSIĄŻEK

Prasa podaje, że Polacy wysiedleńcy w Niemczech otrzymali 450,000 egzemplarzy wydawnictw prasowo-informacyjnych. Nie mając możliwości bezpośredniej i regularnej komunikacji z obozami tych Polaków, będących ofiarami tej wojny, stwierdzamy jednak, że w każdym liście, czy poleceniu jakie do nas dociera stamtąd, mieści się prośba o druki, gazety, książki, prośba o słowo polskie.

Widocznie nie uważają oni towaru, dostarczanego przez oficjalne agencje opiekuńcze za materiał, któryby zaspokoił ich potrzeby.

MALCUŻYŃSKI W ANGLJI I FRANCJI

Witold Małcużyński odniósł wielkie tryumfy w Anglii i Francji, skąd na jesieni powraca do Stanów. W Londynie grał sześć razy, pozbawiając czternaście innych koncertów w Anglii, w Paryżu miał dwa recitale w wielkiej sali Theatre de Champs Elysees, przyczem z każdym razem kilkakrotnie osób odeszło od kasy, nie mogąc dostać się na przepełnioną salę.



Wystawa Polski Podziemnej w Brazylii

"KLAMAŁEM ABY ŻYĆ"

Książka Al. Janty po polsku

Nakładem "Roy Publishing Company" ukaże się tymi dniami polski oryginał "I Lied To Live" Aleksandra Janty. Wydanie angielskie wspomnień jenieckich Janty, (w tłumaczeniu prof. Massey'a który był przed wojną lektorem języka angielskiego przy uniwersytecie poznańskim) zdobyło sobie niemałe powodzenie wśród krytyki i czytelników amerykańskich

i osiągnęło już drugie wydanie. Polski tekst jenieckich wspomnień Aleksandra Janty, który był pierwszym polskim korespondentem wojennym w tej wojnie, ukaże się pt. "Kłamałem, aby żyć" z podtytułem "Pamiętnik roku niewoli". Jako jeden z najoryginalniejszych pamiętników jenieckich obecnej wojny światowej oraz dzieło o wartości literackiej spotka się napewno ze znacznym zainteresowaniem polskich czytelników.

ŚLUB POLKI W OBOZIE W BELSEN

Dwa powyższe zdjęcia zrobione zostały 21-go lipca br. w słynnym niemieckim obozie koncentracyjnym w Belsen i przedstawiają przygotowania do ślubu oraz ślub panny Antoniny Sucheckiej, która przez cztery lata była przez Niemców więziona w tym właśnie obozie. Ojciec jej zastrzelony został przez żołnierzy SS, o bracie niema wiadomości.

Panna Suchecka, pochodząca z Zakopanego wyszła za obywatela brytyjskiego p. Edwada Quattrucci, który do obozu w Belsen przybył z pierwszą misją Czerwonego Krzyża po uwolnieniu.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcji,

Otrzymałem list od oficera Armji Polskiej w Italji który w swoim i swoich żołnierzy imieniu prosi Polonję amerykańską ażeby wysyłała im książki, gazety lub cokolwiek do czytania w języku polskim. Ktokolwiek chciałby im wysłać książki, niech wysyła na adres: por. Kowalski Bolesław, Polish Forces, C. M. F. N. 458.

*

Szanowna Redakcjo,

Przesyłam słowa uznania za doskonały poziom literacki i ideowy "Tygodnika Polskiego" — które to pismo jest w Anglji bardzo popularne i czytane.

Z poważaniem

Redaktor "Skrzydeł"

A. Płodowski

Kpt. bomb.

NOWE KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Dyplomatyka i Łowy — Biblioteka "Wczoraj i Dziś" — Londyn J. Rolls Book Co. Ltd. 1945. Str. 96.

The Review of Politics — Editors: Waldemar Gurian, Thomas T. Mc Avoy, Frank O'Malley. The Sixth Partition of Poland. Oskar Halecki. Reprinted from "The Review of Politics". Vol. 7, No. 2. pp. 142-155, April 1945.

Polska a "kapitalistyczna" interwencja w stosunku do ZSSR, 1918-1920. Biblioteka "Orla Białego" Rzym 1945 r. Nakł. Wyd. Kultury i Prasy II Korpusu. Str. 40.

z Moskwy do . . . Moskwy — Marjan Czuchnowski. Biblioteka Polski Walczącej. Londyn — 1945. Str. 31.

"Tobruk — Gazala" — Władysław Choma. Wydawnictwo "W drodze". Jerozolima — 1944. Str. 112.

Żywi i Umarli — Gustaw Herling-Grudziński. Rzym 1945. Nakł. Oddział Kultury i Prasy II Korpusu. Str. 78.

Święty Promień — Biblioteka "Wczoraj i Dziś" — Londyn J. Rolls Book Co., Ltd. 1945. Str. 100.

A memorandum relating to the Armenian question — by Armenian National Committee. April, 1945. Str. 12.

The frontier between Armenia and Turkey as decided by President Woodrow Wilson, November 22, 1920. Armenian National Committee. Str. 22.

Duch Gniazda" — Magazyn Rzeczy Ciekawych i Użytecznych, London 1945. Ilustracje: Marek Żuławski. Str. 48.